

"Populorum regressio" Zinowiewa *

Aleksander Zinowiew — rosyjski logik, metodolog nauki i przymusowy emigrant (od trzech lat na Zachodzie) jest pisarzem tak płodnym, że przeciętny czytelnik z trudem dotrzymuje mu kroku. Od czasu swego debiutu powieściopisarskiego („Przepastne wyżyny”, 1976) wydał następujące pozycje beletrystyczne: „Światłana przyszłość”, „W przedsiönku raj”, „Notatki nocnego stróża” i 2-tomowy „Złoty dom”; poza tym — w wersji rosyjskiej, zawsze w tym samym wydawnictwie *L'Age d'Homme* w Lozannie — ukazały się książki publicystyczne i socjologiczne „Bez iluzji”, „My i Zachód” i „Komunizm jako rzeczywistość”*. Ta ostatnia rzecz jest szczególnie godna uwagi, ponieważ zawiera podsumowanie poglądów Zinowiewa na Związek Sowiecki i komunizm i można ją uważać za przewodnik po innych jego książkach. Przewodnik taki ułatwia uchwycenie podstawowych linii jego utworów beletrystycznych, które — pomijając rozmiary — pisane są techniką składankową (dziesiątki i setki drobnych rozdziałków) i rozgrywają się zazwyczaj na kilku poziomach (opowieści satyryczno-fantastycznej, wspomnień wojennych, komentarza socjologicznego i rozważań filozoficznych).

„Rzeczywistość” jest terminem wieloznacznym i z lekka demagogicznym, sugeruje bowiem jedną tylko interpretację i to taką, jaką dany opisujący autor nam przedkłada. Intencją Zinowiewa przy wybieraniu tytułu było jednak zapewne nie tyle narzucanie swej interpretacji czytelnikowi, co zwrócenie uwagi na swoistość komunizmu, jego nieporównywalność z innymi systemami społecznymi istniejącymi obecnie na świecie i — co za tym idzie — rozpatrywanie go jako układu o własnej dynamice i celach. Zinowiew uważa komunizm (czy też: zrealizowany socjalizm) za zwycięstwo tendencji stadnej, komunalnej i przeciwstawia go cywi-

* A. Zinowiew, *Komunizm jak realność*, Editions L'Age d'Homme, Lausanne 1981, str. 230.

lżacji *tout court*, czyli tendencji do borykania się z rzeczywistością samodzielnie, na własne ryzyko, ale też i przy zachowaniu suwerenności osobistej. W pewnym uproszczeniu koncepcję „tendencji stadnej” Zinowiewa można przedstawić jako jeden z dwóch możliwych wyborów grupy ludzkiej, zmuszonej przez okoliczności do wspólnego działania w świecie: członkowie jej mogą albo skierować swą aktywność na zewnątrz, zachowując maksimum w danym wypadku możliwych swobód wewnątrz grupy, albo też skoncentrować się na wewnętrznej sytuacji, to znaczy traktując innych jako część swego otoczenia, które należy zużytkować dla zapewnienia sobie bezpieczeństwa i dobrobytu. Ta druga opcja jest często idealizowana — w formie utopii, ideologii lub demagogii, przy czym podkreśla się tylko jej strony pozytywne: solidarność, „troskę o człowieka”, zapewnienie minimum życiowego i w ogóle tzw. sprawiedliwość. Negatywne strony takiej organizacji społecznej pojawiają się dopiero w praniu, tzn. kiedy całe społeczeństwo zostanie już połączone w jeden lub dwa sposoby, jaki ilustruje okładka omawianej książki (również podpis autora): przedstawia ona dwa szczurów związane ze sobą ogonami, ściskające sobie czule prawe łapki i duszące się wzajemnie lewymi. Nie jest to pozycja, pozwalająca na wydajną pracę, ale za to prowadząca do upowszechnienia relacji *subordynacji*, porządkującej stado w kierunku horyzontalnym; szczurów silniejsze i bardziej bezwzględne znajdują się po pewnym czasie na górze. Przy bardzo dużej ilości szczurów powstanie piramida, w której każdy kogoś dusi i z każdym jest związany, ale w której mimo wszystko leż się oddycha i bardziej korzysta ze świata na górze (gdzie duszących jest mniej) niż na dole.

I ten obraz jest jeszcze nie całkiem zgodny z koncepcją Zinowiewa: ilustruje on tylko to, co autor nazywa *podstawową komórką stadną*. Może to być biuro, fabryka lub instytut naukowy, chodzi o to, by komórka taka była względnie samodzielna i dysponowała pewnymi środkami materialnymi. O ile stanowi ona część społeczeństwa zorganizowanego stadnie, czyli komunistycznie, nie będzie ona w zasadzie w ogóle zmuszona do zajmowania się rzeczywistością zewnętrzną — co tam będzie się *gugusować* lub badać, ale przy braku konkurencji „cywilizowanej” wydajność może być niska (byłoby wszystko zgodzało się na paplerze) — natomiast walka o miejsce w hierarchii i związane z tym korzyści będzie się tam toczyła stale i bez litości. Podstawowym przykazaniem takiej komórki — i zorganizowanego z takich komórek społeczeństwa — jest: „grupa jest ważniejsza od jednostki”. Przykazanie to zapewnia przetrwanie i rozrost danej komórki (i danego społeczeństwa) i z tego też względu jest akceptowane przez wszystkich, którzy profitują lub zamierzają profitować z tego układu stosunków. Osobników takich jest wielu, gdyż każdy kto zdaje sobie sprawę, że samodzielnie nie potrafiłby dojść do niczego, albo że musiałby się wysilić o wiele bardziej niż dotychczas, albo boi się ryzyka świadomie lub podświadomie łączy do stada i zwiększa jego siłę.

Wobec dominującej — bo życiowo ważnej dla każdej jednostki — tendencji do subordynacji („albo ja jego, albo on mnie zgnębi”), **koordynacja** jest zawsze tylko chwilowa, niestruwała i „taktacyjna”. Pozorne ciepło „zwartej wspólnoty” generowane jest przez dwie obsesje władające każdym z jej członków: „żeby nikt na tym samym szczeblu nie miał lepiej niż ja” oraz „żeby ja miał lepiej niż wszyscy inni na tym samym szczeblu”. Praktyczną konsekwencją pierwszej obsesji jest utrącanie wszelkich potencjalnych konkurentów, czyli stałe, przewencyjne ściąganie wszystkich lepszych w dół, a konsekwencją drugiej: pchanie się w górę, przy czym zgodnie z podstawowym przykazaniem własne interesy należy przedstawiać jako interesy ogółu. Rozmiarów obłudy, intryg, delatorstwa, oczkowitzralstwa i innych nieproduktywnych i kontrproduktywnych zjawisk jakie powstają w takim układzie podkreślać nie trzeba.

Komunizm chępli się zniesieniem własności i jakoby likwidacją przez to „wyzysku człowieka przez człowieka”. Zinowiew stwierdza, że istotnie: **własność** została w tym systemie zniesiona, ale jej miejsce zajęto władaniem. „Są panowie, nie ma gospodarzy”. Bycie panem oznacza, że ciągnie się korzyści z powierzonej sobie części dóbr (z przynależnymi do niej ludźmi), a równocześnie nie ponosi się za nią odpowiedzialności: decyzje podejmowane są „kolegialnie” (co nie znaczy: demokratycznie, bo na skład kolegium „doby” nie mają żadnego wpływu), a zatem anonimowo. Na wyższych szczeblach decyzje nazywają się już w ogóle tylko „wytycznymi” lub „postanowieniami”, tak okładają się w nich mgliste cele, ale nie podejmuje się ich osiadczenia, toteż w razie klęski zawsze można znaleźć winę na podległych. Władza tego typu jest wszechmocna w sensie negatywnym: niszczenia, eksploatacji, marnotrawstwa, ucisku, likwidowania inicjatywy, a bezsilna w sensie pozytywnym, bo nawet tzw. dobre intencje poszczególnych jednostek nie mogą przyczynić bezwładnie całości.

Zinowiew rozpatruje dojrzały komunizm jako samosterujący się układ, w którym automatycznie powstają urządzenia i tendencje, eliminujące zagrożenia istniejącego stanu rzeczy. Takim wewnętrznym zagrożeniem mogłoby być np. powstanie większej grupy ludzi niezależnych od kolektywów (drobnych przedsiębiorców prywatnych czy choćby rzemieślników indywidualnych); wiadomo jak komunizm reaguje na to zjawisko. „Prawo do pracy” czyli jej przymus jest w istocie wcielaniem w stado. Zagrożeniem zewnętrznym układu jest właściwie całe jego otoczenie, jeszcze nie poddane komunistycznemu ładowi — szczególnie Zachód, pobudzający do rozmyślań i nasuwający nieprzychylnie porównania. Toteż, zdaniem Zinowiewa, tendencja do likwidacji cywilizacji zachodniej (przybrana w ideologiczne ozdóbki w rodzaju „wyzwolenia od wyzysku”) jest głównym i w zasadzie jedynym rzeczywistym celem Związku Sowieckiego w tej chwili. I będzie nim, dopóki ten system będzie istniał.

Co można by zrobić, żeby przestał istnieć? Tutaj Zinowiew

nie daje wyraźnej odpowiedzi — jedynie zaleca, by przeciwstawić mu się wszędzie, za wszelką cenę, ponieważ porusza się on siłą bezwładną i — jak ciecz — wszędzie gdzie znajdzie najmniejszą możliwość penetracji, wnika i zmoczy.

Jak się wydaje, Zinowiew widzi tylko możliwość powolnej ewolucji tego systemu, ponownego powstania cywilizacji, a więc właściwie powtórzenia historii ludzkości na całym obszarze opartym przez „stadność”. Powtarza wielokrotnie, że jest to proces, który wymaga „stuleci i ofiar”.

Książka pisana była w drugiej połowie 1979 i na początku 1980 roku, nie uwzględnia więc wypadków w Polsce. Rozważając różnice między ideologią a religią Zinowiew wspominał też wizytę Papieża w Polsce i rolę Kościoła w tym kraju — ale raczej jako zjawiska szczególne i ograniczone do nietypowego obszaru (swoje uogólnienia buduje on wyraźnie na obrazie społeczeństwa sowieckiego). O ile chodzi o Rosję (czy też: Związek Sowiecki) autor jest skrajnie pesymistyczny, choć odżegnuje się ciągle od tej kwalifikacji. Jego zdaniem komunizm nie da się zlikwidować, tak jak można było zlikwidować nazizm, ponieważ nie można w nim oddzielić „złej władzy” i „dobrego narodu” — jest to jedna całość, którą można tylko zniszczyć („a co wyrosnie na gruzach, trudno powiedzieć. Najprawdopodobniej komunistyczne społeczeństwo takiegoż typu, być może — z jeszcze okrutniejszym reżymem”), lub też — walczyć w nim samym o odtworzenie cywilizacji. Czyli czekać stulecia.

Obraz przedstawiony przez Zinowiewa jest jeszcze bardziej przygnębiający, niż „1984” Orwella, bo oparty na większej ilości danych rzeczywistych. Mimo to warto może przypomnieć reakcję tegoż Orwella na pierwsze wydanie „Rewolucji menadżerskiej” Burnhama (w której postęp faszyzmu na świecie uznany został za nieunikniony): „Burnham popełnia pospolity błąd intelektualny przyjmując, że to co istnieje w danej chwili będzie trwało zawsze”.

M. BRONSKI

*

Ukazała się właśnie nakładem „Biblioteki Promienistych” broszurka zawierająca tłumaczenia wybranych szkiców Zinowiewa udostępnione nam przez redakcję Observatora Wojennego. W uzupełnieniu publikujemy artykuł M. Bronskiego /przedruk z paryskiej Kultury nr / oraz nasze tłumaczenie przemówienia A. Zinowiewa zamieszczonego również w książce „My i zapad”.

Dowcip z tygodnika Newsweek /19.IX 83/:

Na rysunku widzimy wnętrze moskiewskiego studia TV. Spiker odczytuje przed kamerą wieczorne wiadomości: „Z ostatniej chwili... Jak donoszą z Kremla - radziecka rakietka samosterująca lecąc w pokojowej misji nad terytorium Związku Radzieckiego została trafiona przez koreańskiego Boeinga 747 z 269-oma szpiegami na pokładzie. Nie zanotowano strat w ludziach radzieckich, lecz rakietka została całkowicie zniszczona.”

"O SKORUPCE JAJKA I ZAGŁĄDZIE ZACHODU" - żart noworoczny
/z książki "My i zapad" Aleksandra Zinowiewa; tłum. red./

My - to ludzie sowieccy, a Zachód to jest to miejsce, dokąd nas od czasu do czasu wyrzucają, aby naprawić u nas w domu to, cośmy napsuli.

Zachód, jak wszystkim wiadomo, skazany jest na zagładę, a tego, że tak być musi, nie wymyślono bynajmniej u nas, tylko właśnie na Zachodzie. Ludzie Zachodu wpadli na to już bardzo dawno i tak dalece przejęli się ideą swaj nieuchronnej zagłady, że żyć już bez niej nie mogą. Dumą napawa ich myśl, że sgnąć muszą, zupełnie jak nas - ludzi sowieckich fakt, że takie podłe życie mamy. W samej rzeczy podobieństwo uderzające. Zejdą się na przykład ludzie sowieccy w obskurnej i cuchnącej knajpie lub w malutkiej i ciasnej izbie, popiją samogonu, zagryzą czymś takim, czego zachodni człowiek nawet sobie nie wyobrazi, popatrzą po sobie z pełnym zrozumieniem i podleśkim uśmiechem: "Ot rodniency, żyjemy gorzej niż świnie." I duma zabłyśnie im w oczach i satysfakcja z tego, że gorzej niż świnie żyją.

No i tak samo tu, na Zachodzie. Zejdą się panowie w restauracji lub w takim salonie, jakiego człowiek sowiecki nawet w śnie nie ujrzy, pokosztują różnych wymyślnych specjałów, podelektują się winami, istnienia których nie podejrzewa nawet człowiek sowiecki, popatrzy jeden na drugiego, uśmiechnie się pobłażliwie i zawyrokuje: "No cóż, panowie, skazani jesteśmy na zagładę." I duma zabłyśnie im w oczach, że zagłada nieuchronna.

Ja sam, zupełnie niezależnie od nich, doszedłem do tego samego wniosku, i to jeszcze wtedy, kiedy żyłem w Sowietkim Sojuszu. A sprawił to przypadek: otóż mój znajomy przywiózł z Zachodu taki jakiś smyślny przyrząd, którego zastosowania nie mogliśmy się ani rusz doszukać. Głowiliśmy się i głowili i ciągle nie wiedzieliśmy, do czego to służy. I wtedy mój znajomy oznajmił triumfująco, że jest to przyrząd do przekłuwania skorupki jajka. Oszupieliliśmy ze zdumienia, a wyobrażam sobie, że w taki stan oszupienia wprawiłby naszych dziadków papier toaletowy: "Wot swołoczi, wydumali!" wyszeptał ktoś z obecnych. A ja pomyślałem sobie wówczas, że społeczeństwo, które swą twórczą inwencję i środki materialne marnotrawi na obmyślanie dziurkacza do jajka, zamiast wykorzystać je do budowy czołgów, samolotów i rakiet, jest skazane na zagładę. Znaleśli się wśród nas i optymiści, którzy w fenomenie "dziurkacza" dopatrzili się katastrofalnego sowieckiego zacofania w stosunku do Zachodu - wśród sowieckiej inteligencji odrodziła się stara rosyjska inteligentka tradycja upajania się świadomością zacofania swojej ojczyzny.

A gdy znalazłem się na Zachodzie, na każdym kroku spotykałem się z owym fenomenem, z owym wymyślnym przyrządem do przekłuwania skorupki jajka w różnych odmianach, sdumiałem się i utwierdziłem w przekonaniu, że Zachód musi sgnąć. A kiedy ran

wybierałem się by kupić świąteczną choinkę, powiedziałem do sony: "Mam nadzieję, że chociaż choinka będzie swieczyna, że tym razem nie wypadłi żadnej sztuczki, w przeciwnym wypadku stawiam krzyżyk na zachodzie!" No i co? Na targu soboaszytem tak piękno jodełki, jakie w Moskwie ogląda się tylko na reklamowych obraskach i... jakiś ładny przedmiot, coś jak rybnia, a może być i silnik odrzutowy. "A ośa te takiego?" - zapiekawilem się z leciutką nadzieją w sercu, że może ten strach co snowu mnie ogarnął, nie na podstawi. "Te? - powiedział sprzedawca - w te pakujemy choinki." Prędko wziąłem pierwszą z bręgu choinkę, nie pozwoliłem jej zapakować i samąty poszedłem do domu. "Wiess - powiedziałem do sony - Zachód to nie dla ludzi sowieckich," a jeszcze kaszałem jej scharwad paragon na choinkę. "A po co to?" spytała. "Kto wie - odpierka - może się uda przekonać inspektora pedatkowego, że to wydatek swięszny z moją działalnością nawodową."

Zachód wprawia w zdumienie człowieka sowieckiego nie tylko z powodu swego fenomenu "zakorupki jajka", ale także z powodu wyjątkowej marności, z jaką traktuje się tu Sowiecki Sojusz i sowieckiego człowieka. Przypomniał mi się jedno z wielu moich spotkań z osytelnikami. Uczestnicy owego spotkania to byli ludzie wykstażeni. Byli to studenci, asystenci, wykładowcy, profesorzy. "Ja, człowiek sowiecki..." zacząłem odpowiadać na jedno z pytań. "Były człowiek sowiecki?" - poprawił mnie ktoś. "Nie ma byłych ludzi sowieckich, człowiek sowiecki postaje sobą, nawet gdy emigruje lub wyrusza go z kraju, osy zajmie się działalnością antysowiecką." "Eee - zachnął się mój rozmówca - to zwykły rekoncyencyjny paradoks." "Bożesz ty mój, żeby tak było!" - westchnąłem. Ale ośa, to co człowiekowi z Zachodu wydaje się czyste werbalnym paradoksem, to dla nas, ludzi sowieckich, od dziecka poszących się marksizmu, jest zwykłym sposobem myślenia.

Jeden z obecnych /nawiasem mówiąc profesor/ zgadzał się w zasadzie z moją krytyką sowieckiego społeczeństwa, ale widział w tej krytyce wiele przesady. "Na przykład - mówi - to co napisał pan o kolejkach w związku radzieckim, jest oczywiście literacką groteską, czyż nie? Szalenie zabawne! Świetnie wymyślone, tyle, że nieprawdziwe. A po co by człowiek stał i stał w ognie godzinę, dwie czy więcej? Przecież mógłby przysiąc po prostu później i bez tego stania kupić wszystko, co chce." Logiczne? A jakże, logiczne! Prysłuchujący się rozmowie moi "byli" sowieccy rodacy aż się popłakali ze śmiechu. Inny z obecnych na spotkaniu skwitował moją przestrożę o możliwości wkroczenia wojsk sowieckich do zachodniej Europy w bardzo prosty sposób: "Ludzie w Związku Radzieckim są tak ośmanieni propagandą, że nie mają zielonego pojęcia o tym, jak się żyje na Zachodzie. Niech więc żołnierze radzieccy przyjdą do nas. Przyjdą i zobaczą na własne oczy, jaki u nas wysoki poziom życia i jakie swobody obywatelskie. Zrozumią wtedy, że ich detąd oszukiwano. Wrócą do siebie i zmienią swój sposób życia na wsór zachodni." Niektórzy z przysłuchujących się zaczęli bić brawo. Tak, tak, tu już nie było powodu do śmiechu. Moi "byli" sowieccy rodacy pukali się w czoło, zamilkli i pomrocnieli. No bo co właściwie można było tym zachodnim ludziom jeszcze powiedzieć? Że ludzie w Związku Radzieckim ośszam, mają wyobrażenie o życiu na Zachodzie? Że nawet ten Zachód idealizują? I że mimo to nie zmienią swego sposobu życia? Że - jeśli tu

pryjda - to po to, by właśnie Jashód musiał do takiego nędznego i po-
tego wegetowania, jakie jest ich udziałem? że hordy Czangis Chana nie
do sali swojego czasu Europę, by nauczyć się roszar, lecz po to, by
zarządzać i niszczyć? Ale to nie są argumenty dla tych z Zachodu,
wreszcie doszedłem do wniosku, że przyczyna niemożności dotarcia do
wiadomości człowieka z Zachodu tkwi nie w jego naiwności, ale w ...
Kustym befasytyku. Tak, to nie kalamar. Człowiek Zachodu sądzając
muszę befasytyki ze swierzego mięsa spogląda na sowieckiego człowieka
pracującego stęchłe siemiaki z pozycji istoty wyższego rzędu, uważając,
że przystawianie na tak zebrać rośliny świadczy o ciemności i zacma-
niu umysłowym.

Trudno jest żyć człowiekowi sowieckiemu na Zachodzie. Trudno -
wielu przyczyn. Dla przykładu podam tylko dwie przyczyny. Pierwsza -
zawalenie człowieka mnogością rozlicznych urzędniczo-prawnych papier-
ków. W Związku sowieckim pod tym względem kompletna beztroska! W pracy
była jakaś tam tzw. książka zatrudnienia, którą po raz pierwszy zobaczy-
łem, jak mnie wylano. W domu - dowód osobisty. I to wszystko. A tu, na
Zachodzie, w ciągu jednego zaledwie roku obrpłem w taką ogromną ilość
papierków, które koniecznie trzeba przechować i w dodatku na nie odp-
owiadać! Przy moim wstąpieniu do wszelkiego rodzaju formalności - cóż za
niek! A tutaj bez tego ani rusz, bo społeczeństwa na Zachodzie są pra-
worządne. No i trzeba przywykać do tego od dziecka. Jednego razu dosta-
łem gruby pakiet urzędowych papierów. Czytam, czytam - niczego nie
rozumiam. Obłożyłem się słownikami - nie pomaga. No cóż, język literacki
i językiem literackim, a tego urzędowego to nawet tutaj nie rozumie-
ją, ale oni radzą sobie jakoś w praktyce, bo przyzwyczajeni są wszystkie
tak należy robić nawet bez czytania tych papierków. Poszedłem po pozna-
ję do tutejszych znajomych i dzięki nim pojąłem jedno: muszę płać.
Zapłaciłem. I napisałem, że lepiej już będę płać dwa razy tyle, a
niech mi nie przysyłają tych papierów. Ale papiery przychodzą i przy-
chodzą, co tydzień grubszy pakunek. Nie czytam. Wrzucam do worka /wy-
susić się boję, bo a nuż będą potrzebne!/. I żyję sobie po sowiecku
będą czego potrzebować, sami przyjdą. A w ogóle - może się obejść!

Druga przyczyna, że nam ludziom sowieckim tak trudno przywycza-
ć się do Zachodu, sprowadza się do konieczności ciągłego wyboru. Tu
trzeba bez przerwy wybierać - a możliwości ogromna ilość! I trzeba być
zawsze aktywnym, a człowiek sowiecki do tego nie nawykł. I z tego po-
vodu głębokie rozterki duchowe, niepewność, stresy, żale. Ot na ten
przykład - poszedł ja do sklepu, zobaczył koszulę, ach jaka piękna! -
i raz kupiłem. Ja człowiek sowiecki przyswoiłem się łapać ładną
koszulę. Nie złapie, to może być - więcej się nie starzy. Kupiłem ko-
szulę, idę do domu i cieszę się, że takie szczęśliwie spotkało. No
co? Sto metrów dalej... patrzę i co widzę? W witrynie innego sklepu
taką samą koszulę, ale tańszą. Zmarkotniałem. A za parę dni spowa-
m w innym sklepie - taka sama koszula... jeszcze tańsza. Już zacząłem
być zły na siebie. A w kilka tygodni potem, na wyprzedzają /taki za-
wyczał/ zobaczyłem taką samą koszulę jeszcze tańszą od tej,
którą kupiłem. Teraz na moją koszulę już patrzeć nie mogę. I wisi
w szafie ten symbol mojego nieprzystosowania.
Boję się panicznie chodzić do restauracji. Zajdziesz - podają

ci kartę, a tam setki nazw najprzeróżniejszych potraw, o których nigdy nawet nie słyszałem. Pewnego razu, strasznie głodny, postanowiłem zjeść coś solidnego. Wybrałem, rozumie się, coś co było najdroższe. No i mi przynieśli coś przedziwnego, a w dodatku było to-to nie większe od paznokcia. Bał Jessece zachwalał, że im się wyjątkowo udało. A drugim razem chcieli coś tylko przekąsić i zamówili coś bardzo taniego. I przynieśli mi taką ogromną ilość różności - jak dla co najmniej trzech sowieckich soldatów. Od tego czasu samawiam wyłącznie smycel wiedeński, wszędzie - w restauracjach paryskich, genewskich, sztokholmskich, londyńskich. I tylko zawiśnie patrzę na tych z Zachodu, którzy wiedzą, co wybrać, a przede wszystkim wiedzą - co jedzą. A w ogóle, człowiek, jego życie i sytuacja w kraju tu, na Zachodzie, w ogromnej mierze zależą od samego człowieka, od jego aktywności, inicjatywy. Nie to, co w Sowietach. Człowiek sowiecki zwolniony jest na ogół od odpowiedzialności za swoje życie, a tym samym nie musi zabiegać o tyle rzeczy jak człowiek Zachodu. Jeżeli tak na to spojrzeć, to można by powiedzieć, że człowiek sowiecki żyje sobie dość beztrosko. Prawda, że za tę beztroskę płaci ogromną cenę, bo żyje jak żebrak /w porównaniu z człowiekiem Zachodu/ i przestał być wolny, ale i mnie - przyznam się - chciałoby się czasem pożyć troszkę bardziej niefrasobliwie, nawet w gorzych warunkach materialnych i przy jakimś tam ograniczeniu swobód. Tak że ja, z psychologicznego punktu widzenia, doskonale rozumiem duchowe cięgoty wielu ludzi na Zachodzie, którym podoba się socjalistyczny ustrój niezależnie od zdemaskowanych jego błędów i ciemnych stron. Oni mają nadzieję na to, że potrafią odmienić porządek rzeczy, że będą mogli żyć beztrosko, jak ludzie sowieccy, a jednocześnie potrafią utrzymać zachodni wysoki standard życia i swobody człowieka Zachodu. Być może nawet gotowi by byli zrezygnować z wolności. Pewnego razujechałem z Włoch przez Austrię i Niemcy. Rozmawiałem z siedzącym obok mnie francuskim komunistą i zachwyczał się niezwykłą dla nas - ludzi sowieckich - swobodą podróżowania po różnych krajach. On zaś przekonywał mnie, że komunizm w Europie zachodniej będzie zupełnie inny niż w Związku sowieckim i że tu ludzie będą mogli tak samo swobodnie sobie jeździć z Paryża do Londynu, jak w Związku sowieckim z Tambowa do Riazania. Być może tak się stanie - powiedziałem - tyle, że wówczas Paryż i Londyn zostaną zepchnięte do poziomu Tambowa i Riazania i podróże stracą jakikolwiek sens i smak. Ale - zdaniem mojego francuskiego komunisty - nie byłaby to znowu taka wielka strata.

Niejednokrotnie miałem możliwość przekonać się o tym, że wszelkiego rodzaju swobody nie są dla człowieka Zachodu najważniejszym elementem szczęścia. Niedawno w Szwajcarii jeden z moich czytelników ubolewał nad tym, że nieszychanie osłabło w ludziach Zachodu poczucie odpowiedzialności za losy zachodniej cywilizacji, a jako przykład podał fakt przejścia do sowieckiej służby szpiegowskiej pewnej wysoko postawionej w obywatelstwa Szwajcarii osobistości, która zrobiła to wyłącznie z powodów osobistych, gdyż w swoim czasie pominięto ją przy awansie. Jeszcze w latach wczesnej młodości słyszałem o tym, że na Zachodzie sprawy publiczne schodzą na plan dalszy przed osobistymi interesami. Ale dopiero tutaj miałem możliwość przekonać się, że to zaczyna przybierać niebezpieczną formę satraczenia poczucia odpowiedzialności za wartość i przy-

szyłość zachodniej cywilizacji. I na tym - moim zdaniem - polega słabość Zachodu, słabość, która uniemożliwi mu przeciwstawienie się blokowi sowieckiemu i komunizmowi w ogóle. Podczas wielu dyskusji na ten temat nie zdarzyło mi się spotkać ani jednego człowieka, który by zastanawiał się jak właściwie walczyć w razie ataku ze Wschodu, co przedsięwziąć, żeby móc się przeciwstawić. Wszyscy oni mówili tylko o jednym - o ewentualnej szansie ocalenia Zachodu, lub przynajmniej o ochronieniu jakichś swoich wartości. Tylko sowieccy emigranci trwożą się, a i to nie o zachodnią cywilizację tylko o samych siebie: gdzie emigrować, jeśli... No, ale o tym "jeśli" lepiej nie myśleć. Któryś tam zażartował, że wtedy przyjdzie emigrować do sowieckiego Sojuza.

Chciałbym jeszcze kilka słów powiedzieć, jak się układają tu na Zachodzie stosunki między ludźmi, jak wygląda życie. Sowieccy emigranci często ubolewają nad tym, że tu, na Zachodzie, przez cały czas ludzie są czymś sąsiedzi. Zupełnie nie ma z kim pogawędzić, tak z duszy, serca. A to i prawda. Większość ludzi, włączając w to kapitalistów, prostytutki, gangsterów i urzędników ciężko pracuje, by zarobić czy to na zwyczajny chleb powszedni, czy też na luksusy. Tutaj wszyscy pracują. Tu wszystko jest zaplanowane z zegarkiem w rękę, w tym również - odpoczynek, rozrywki i spotkania z przyjaciółmi. Tutaj, na Zachodzie, uważa się, że takie gadanie godzinami o tym i owym, bez pośpiechu i bez celu, do czego nawykł człowiek sowiecki, jest po prostu stykiem, fanaberią, na którą człowiek pracy nie może sobie pozwolić. Owszem, spędzają tak niekiedy czas studenci, albo ludzie na prowincji. Stąd też czytelnicy moich książek traktują bohaterów przedstawionych przeze mnie nie jako żywych, sowieckich ludzi, tylko jako prezydentów moich idei, bo nie może im się pomieścić w głowie, że żywi, zwyczajni ludzie mogą prowadzić tak niezliczone niekończące się rozmowy. Ludzie Zachodu po prostu nigdy nie analizują wszechstronnie problemów społecznych, nie dyskutują na ten temat z innymi bez pośpiechu, bez z góry powziętej opinii. Z tego powodu - w ich wzajemnych stosunkach tyle nieprzemysłanych przesądów, uprzedzeń, słomianego sapału. A ludziom sowieckim starcza czasu, by pomyśleć o wszystkim, wszystko obgadać, wszystko bez żadnego pośpiechu rozpatrzeć z kolegami, sąsiadami, znajomymi. Tyle, że nie ma to absolutnie żadnego praktycznego znaczenia i w żadnym wypadku nie wpływa na poprawę ich położenia i zachowania. Takie spędzanie czasu jest celem samym w sobie. Jest sposobem i obrazem życia. I dlatego tęsknota sowieckich emigrantów za możliwością powrócenia się z kimkolwiek, za długimi rozmowami, bez celu jest tęsknotą za kolektywnym myśleniem i przeżywanym - tak ważnym elementem sowieckiego stylu życia.

Na Zachodzie niemalże każdego sowieckiego człowieka uważa się za ofiarę sowieckiego reżimu, zupełnie tak samo jak ongiś w Związku Sowieckim - zachodnich obywateli za ofiary kapitalizmu. Mnie też organizatorzy moich spotkań z czytelnikami i autorzy artykułów o mnie przedstawiają jako ofiarę komunizmu. Ja kategorycznie sprzeciwiam się. A oni się dziwią. Być ofiarą sowieckiego systemu - to tak wygodnie na Zachodzie. A tu człowiek sam się wyrzeka takiego przywileju. Z punktu widzenia zachodnich ludzi to bardzo niepraktycznie. Mógłbym im - niczego nie rozumiejącym - powiedzieć, że właśnie ta moja niepraktyczność chroniła mnie najlepiej przed wehkoniciem, przez sowieckie społeczeństwo. Ale

patrząc na nich wiem, że to moje wyrażenie zamiast rozjaśnić, zaciemniłoby jeszcze obras i wprowadziło kompletne zamieszanie. I mówię do nich po prostu - tak mnie się przynajmniej wydaje: Ja nie jestem ofiarą sowieckiego reżimu. Raczej na odwrót - ten reżim jest moją ofiarą, temu reżimowi dostało się ode mnie więcej, niż mnie od niego. Gdyby nie było tego reżimu, nie mógłbym napisać mojej książki i dzięki temu uwolnić się od niego. Moi słuchacze bezskutecznie wysilają się, by pojąć sens tego mojego paradoksu. A ja patrząc na ich sarkopotane miny, sdaję sobie sprawę z wyższości dialektycznego rozumowania człowieka sowieckiego nad metafizycznymi dociekaniem człowieka Zachodu. Dla nas, ludzi sowieckich w ogóle nie ma żadnych problemów, bo zanim jeszcze uświadomimy sobie istnienie problemu, już mamy jego rozwiązanie. Ten swoisty, wyprzedzający sposób naszych dociekań komplikuje nasze życie tu na Zachodzie. My np. ze szczególną troską myślimy o tym, że cała ta obfitość dóbr, cała cywilizacja znikną natychmiast, gdy sowietyzm /jeśli nie sowieccy ludzie/ zawojuje Zachód. A tymczasem Zachód robi wszystko, by sowietyzm nie mógł go nie zawojuować. I jak tu wytłumaczyć zachodnim obywatelom, że my, ludzie sowieccy z całego serca pragniemy, żeby tu na Zachodzie nie zapanował taki ustrój jak u nas...

W jednym z krajów zachodnich, gdzie do tej pory utrzymała się monarchia, zdarzył się koszmarny wypadek. Niedaleko od królewskiego pałacu znajduje się jezioro, po którym pływają królewskie kaczk. Ptaki te od wieków czuły się bezpieczne, wierzyły ludziom i pełne zaufania do nich jadły wprost z ręki. Ale coś, w królestwie pojawili się emigranci z jakiegoś komunistycznego kraju, i pogłowię kaczek zaczęło się szybko zmniejszać. Wyjaśniło się, że ci emigranci zwabiali ufnie ptaki i zjadali je oszczędzając w ten sposób swoje skromne środki pieniężne, by przeznaczyć je na inne potrzeby. Usłyszawszy o tym obywatele królestwa /nawiasem mówiąc budujący swój socjalizm/ wpadli w przerażenie z powodu takiego wandalizmu. A nam chciało się po prostu śmiać. Jeden z naszych znalazł w kieszeni okrąski chleba, które zachowały się jeszcze z Moskwy, mrugnął porozumiewawczo do opowiadającego tę straszną historię i zaproponował skrócenie asyjek parce apetycznych kaczuszek, a popatrzwszy pożądliwie na moskiewskie okrąski chleba położył je na dłoni naszego rodaka. Tak, - westchnął nasz zachodni przyjaciel, - zagadkowi dla nas jesteście, wy, sowieccy ludzie sowieccy!

Aleksander Zinowiew

PIELGRZYMKI /dok. ze str. 40 /

pielgrzymka została rozwiązana. Niektórzy z nas poszliśmy jeszcze na dzień 15 VIII - dzień Matki Boskiej Zielnej i Matki Boskiej Zwycięskiej /1920 r./ Na miejscu było dużo ludzi ze snoczkami "B" i milicja nie reagowała. 15 VIII w trakcie Mszy św., gdy biskup wspominał w kasaniu o Cudzie nad Wisłą i księdzu Skorupce, serwały się brama. Ogółem przyjechało do Częstochowy do 15 VIII 160 tys. osób w 19 pielgrzymkach. Najbliższą była pielgrzymka warszawska - 54 tys.

Historyk

Do artykułu "ZSRR odpowiedzialny za wybuch II wojny światowej" /Promieniści nr 22/ ujmającego agresję sowiecką w ogólnej płaszczyźnie politycznej 1939 r., chciałbym dodać parę usupeżeń, być może znanych, ale jak mi się wydaje, szczególnie wartych podkreślenia w perspektywie obowiązującej retymowej historiografii. Tłumaczy ona zwykle /coraz częściej/ wydarzenia 1939 r. względami już nie ideologicznymi, a "racjonalnymi i pragmatycznymi". Szczególnie niebezpieczne są podobne deformacje w nauczaniu historii w szkołach średnich, gdzie nie ma zwykle możliwości poznania innych opracowań.

Należy więc mieć na uwadze, że 23.VIII 39 faszystowski Niemcy i sowiecka Rosja podpisały curiosalny "Pakt o Nieagresji" /o tym miłoścy podręczniki/ - de facto nie granicząc ze sobą. /Co wówczas było istotnym utrudnieniem/. Bezpośrednim rezultatem tajnej klauzuli tegoż paktu jest wkroczenia Sowietów do Polski "w celu obrony swych rodaków Ukrainców i Białorusinów" jak głosi dyplomatyczna nota Moskwy. Tymczasem "Pakt o Nieagresji" zawarty między II RP a ZSRR w roku 1932 /a prolongowany w 1934 aż po rok 1945/ stwierdzał, że względy narodowościowe nie mogą być przyczyną agresji, samodzielnej czy też w łączności z innym państwem. W konwencji z 1933 /pomysłu zresztą Litwinowa/, termin "agresja" zostaje dokładnie sprecyzowany jako "jakiegokolwiek zbrojne wtargnięcie na teren drugiego państwa".

We wrześniu 1939 Sowiety tłumaczyły łamanie powyższych traktatów nieistnieniem państwa polskiego. Istniały jednak wszystkie jego prawne atrybuty: rząd, częściowo terytorium, działająca administracja, broniąca się nadal stolica, armia polska i przesłanki jej dalszych walk w oparciu o granicę rumuńską i linię Bugu /odciętą przez ZSRR/. Przed kim zresztą należało bronić "rodaków Ukrainców"? Artykuł redakcyjny w Prawdzie z 20 IX nie pozostawia żadnych wątpliwości: "W radosnym zachwycie nasi bracia, zachodni Ukraińcy i Białorusini witają waleczną Armię Czerwoną przynoszącą im wyzwolenie spod ucisku polskich panów obszarników! Czy tylko zachodni Ukraińcy i Białorusini? Oto 23 IX Prawda drukuje mapę Polski z zaznaczoną linią demarkacyjną między ZSRR a Niemcami. Przebiega ona wzdłuż linii Sanu, Wisły, Warwii i Pisy, pozostawiając Sowietom m.in. Lubelskie /skąd zresztą po paru dniach - na przykład z Zamościa wycofały się oddziały rosyjskie/.

Od agresji Hitlera na Moskwę zaczęto wyraźnie mówić "o obronie rodaków przed Niemcami", którzy jakoby tuż tuż i zdobyli zachodnią Ukrainę. Zerknijmy więc do cytowanego już artykułu z Prawdy. "Rządy ZSRR i Niemiec oświadczają, że działania wojsk sowieckich i niemieckich nie mają na celu niczego, co sprzeczne byłoby z interesami Niemiec lub Związku Sowieckiego /.../. Na odwrót zadaniem tych wojsk jest przywrócenie w Polsce porządku i spokoju." A jak przedstawiały się wówczas możliwości hitlerowskie? A. Szymański attache wojskowy w Berlinie, znajdujący się pod koniec kampanii wrześniowej we Lwowie wspomina: "Od 14 IX niemieckiej artylerii zabrakło amunicji, pojazdów materiałów pędnych. Niemcom zatem bardzo zależało na naszej kapitulacji, byli bowiem tłumnie przywołani. Z pomocą przysłali im Rosjanie. Były zatem kanały łączności niemieckiej z czerwoną armią, wówczas stojącą jeszcze na ziemiach rosyjskich

"NIE ZMIENIAM PRZEKONAŃ I PISZĘ TYLKO W RZĄDOWYCH GAZETACH"

17 września /data dobrze wybrana/ w wywiadzie TV Artur Sandauer na pytanie, co go skłoniło do wstąpienia do "nowego" związku literatów, odpowiedział: "przede wszystkim to, że nigdy nie zmieniam przekonań." Argument - trzeba przyznać - nie do odparcia. W dalszych, dość mętnych, ale jak przystało na Sandauera wypowiedzianych autorytatywnym tonem wywodach, pan profesor stwierdził, że w ZLP już od 1954 r. - tu się trochę zauckał i poprawił "od dość dawna" panowały tendencje polityczne, a on uważa, że to jest niedopuszczalne, gdyż związek powinien sformułować rząd i układy, a pisarze - oczywiście o różnych światopoglądach - muszą uznawać trwałość i nienuiszalność ustroju socjalistycznego /co oczywiście z polityką nie ma nic wspólnego, jak również z etyką pisarską, bo to, co piszą literaci wcale nie musi być zgodne z ich przekonaniami - przyp. red./.. On - Artur Sandauer - zaznaczył "pisuję tylko w kraju i tylko w rządowych gazetach i wydawnictwach" a nie jak inni pisarze, nawet bardzo dobrzy "przemycają swoje utwory na Zachód", a potem "te utwory jakoś, nie wiadomo jak wracają do kraju i ludzie je czytają, albo wiesz, na Wolnej Europie." /trochę tu zawisła w tonie wyczułam, a może mi się sdało? i trochę mi zapachniało donosem i świętą inkwizycją./ Właściwie prawdę powiedział pan Sandauer. Przekonań swoich nie zmienia - jak zawsze po stronie silniejszego przeciwko słabszemu, po stronie zwycięzcy przeciwko zwyciężonemu, powalonemu zawsze - wyczuwszy skąd wiatr wieje - dołoży parę kopniaków. Nie smienił się pod tym względem przez całe swoje życie. Z licznych przykładów przypomnę tylko jego napaść na Zbigniewa Herberta w artykule pt. "Gros dzielony na czworo" publikowanym w trzech kolejnych oddziałkach w Kulturze w dniach 15, 22 i 29 lutego 1976 r., i na śp. prof. dr Izydorę Dąborską w artykule "Jak fałszować teksty, czyli moralność pani Dąborskiej" w Kulturze w dniu 30 maja 1976 r. Rzekomo uderzając we wtórność, nieoryginalność i wręcz słabość poezji Herberta /co uzasadnia w przedziwny sposób: "Jest to jeden z najbardziej znanych poetów - przekładany na języki zachodnie o wiele częściej niż którykolwiek z jego wzorców" ale "...jeśli o poetów chodzi, ilość tłumaczeń o niczym nie świadczy. Im lepsi, im mocniej związani z językiem, tym trudniejsi do przetłumaczenia. Ilość przykładów bywa nieraz odwrotnie proporcjonalna do wartości. Paradoks ten stosuje się do Herberta o tyle, że wiersze jego rzeczywiście odlane są w materiale językowo obojętnym; stąd ich przekładalność."/, w rzeczywistości atakuje postawę moralną poety i jego przekonania polityczne - wyczuwszy niekorzystną wówczas, jak zresztą prawie przez cały okres Polski Ludowej, koniunkturę dla Herberta. Najlepiej obrazuje to przykład przewrotnej analizy Sandauera jednego z wierszy Herberta z tomiku "Studium przedmiotu" pt. "Tren Fortynbrasa". Trzeba było wiele wysiłku i złej woli, żeby doszukać się w trenie tego, czego nie zdołał zauważyć nawet cenzor, stwierdzając: "Tren Fortynbrasa" był przekładany najczęściej, bo jest utworem politycznym: mówi o przejęciu władzy" a jest to - zdaniem Sandauera - "aluzja do wydarzeń, których świadkiem był poeta w młodości." Zważywszy, że Herbert urodził się w 1924 r., nietrudno zauważyć, że w młodości był świadkiem II wojny światowej, wstąpienia do Polski od zachodu armii niemieckiej, a od wschodu sowieckiej. I tu niezłomny w swoich przekonaniach, Sandauer opowiada się po stronie zwycięzców /czy Niemców też?/ Wszak byli oni także zwycięzcami!

piszą: "Naród - dodajmy - wie, co robi; nie jest zwolemnikiem ani efektownych sztychów ani bohaterskich śmierci. Co zaś do łuków triumfalnych - wznosi je nie dla "pięknych poległych" /tych zbywa pomnikami/, lecz jak sama nazwa wskazuje dla triumfatorów." Nie podoba się więc Sandauerowi to, że Herbert uczuciowo związany jest z leżącym w stóp zwycięzcy Hamletem. Sandauer bowiem stoi u boku Fortynbrasa. Fortynbras mówi: "...wybrałeś cześć łatwiejszą efektowny sztych/ lecz ozmie jest śmierć bohaterska wobec wiecznego czuwania/ z zimnym jabłkiem w dłoni na wysokim krześle/ z widokiem na mrowisko i tarczę zegara/ Żegnaj księżę czeka na mnie projekt kanalizacji/ i dekret w sprawie prostytutki i żebraków/ muszę także obmyśleć lepszy system więzień/ gdyż jak zauważyłeś słusznie Dania jest więzieniem..." Zgodnie z impetowaną Herbertowi sugestią, że wkrócenie Fortynbrasa kojarzy się poecie z wypadkami, których świadkiem był w młodości, powiada Sandauer: "nie należy/Herbert/ do tych, dla których zmiana frontu jest rzeczą naturalną." Wydawałoby się, że Sandauer, który "nigdy nie zmienia przekonań," z szacunkiem powinien odnosić się do tej cechy Herberta, ale nie. Kontekst, w którym zamieszcza to twierdzenie, świadczy o czymś zgoła przeciwnym. Cytuje tu mianowicie jedną z "Zielonych gęsi" Gałczyńskiego, rozmowy mamy z synem reakcjonistą, pałaszującym jajka z pieczarkami i szczypiorkiem, i porównując następnie Herberta do tegoż syna reakcjonisty: "Gloryfikacja Hamleta /że poległ/, potępienie Fortynbrasa, /że rzadzi/, nie przeszkadza nikomu w pałaszowaniu jajek. Wie o tym dobrze sam Herbert." A więc bezkompromisowość poety jest zła, a jeszcze gorzej jest to, że mimo niezłomności przekonań żyje, a powinien zdecydować z głodu.

Ten sam ton w 1983 roku - wysyłają utwory za granicę /tam im płacą/, potem przemycają do kraju /ludzie czytają/, a pan Sandauer musi się zadowolić krajowymi jajkami, krajowymi pieczarkami i krajowym szczypiorkiem i krajowymi czytnikami, nie tak licznymi jak tamci, chociaż wydaje w rządowych a nie zagranicznych, czy nielegalnych drukarniach.

Nietykalny wówczas Sandauer /teraz chyba też/, napisawszy swój bardzo a propos artykuł przeciw Herbertowi, nie spodziewał się żadnej repliki, jako że Kultura odmówiła zamieszczenia jej zarówno śp. prof. Dąbskiej, jak i śp. prof. Tatarkiewiczowi, nie mówiąc już o zwyczajnych śmiertelnikach. A tu nagle ukazuje się w maju tegoż roku w Tygodniku Powszechnym napisana w bardzo spokojnym i kulturalnym tonie odpowiedź prof. Dąbskiej pt. "W sprawie artykułu prof. Sandauera pt. 'Głos dzielony na czworo'". Oburzony z tego powodu Sandauer odpowiada w sposób arogancki i szkalujący dobre imię powszechnie znanej profesor filozofii w artykule "Jak fałszować teksty, czyli moralność pani Dąbskiej". Zaczyna od osobistych pretensji do redaktora Turowicza, że "udziela zamówienia Tygodnika ludziom, którzy skierowują lufy w pierś tak niegdyś sympatycznego Sandauera" i jakby nie orientując się w sytuacji stwierdza dumnie, że on pisuje wyłącznie w rządowych gazetach, a jego adwersarze w prasie katolickiej. Następnie zaś, swoim zwyczajem, chcąc udowodnić pani Dąbskiej fałszowanie tekstów i wręcz niemoralność imputuje jej intencje, której ani śladu nie ma w jej artykule, a mianowicie sugeruje, że napisała ona go dlatego, że podejrzewa Sandauera o atak na poetę z powodu "dokonania przez Herberta pewnych niezbyt dobrze widzianych po-

NALEKI Z PRZEMAKACYJNYCH WROCIENISTICE

Obóz wędrowny nad morzem, 16 VIII. Mamy trochę. Respektujemy we dwóch o sroku. I nagle wyrasta jakaś postać. Dotąd nie wiem: milicjant, szomo? żołnierz? Nie ma jak uciekać. "Czego stoja?" - pyta. Zamurowało mnie ale kolega najspokojniej: "Kto?". "Nie dyskutować, odpowiadać." Kolega: "Czekamy na czerwne światło," ten ktoś: "Co?" Kolega: "Na sachód słońca." Tanten: "Trzeba tak od rasu" i po chwili trzepnawszy się po boku: "Mógłbym od rasu sastrzelić. Dokumenty!" Wyciągam. Brak zameldowania. Na drugi dzień kolegium - po 1000 zł od Żebka. Inny z obozu też 1000 zł za nieporządek przed namiotem /dwie menażki i butelka po winie/, więc pyta: "To za wszystko tak samo się płaci? Zawsze 1000 zł?" Odpowiedź: "Za podnoszenie głosu 500 zł, a jak jeszcze raz to będzie 15.000 zł." Mimo wszystko się udało.

5.

Z PIELGRZYMI DO CZĘSTOCHOWY

W dniach od 6 do 14 sierpnia 1983 odbyła się trzecia piosza pielgrzymka wrocławska na Jasną Górę. Liczyła ona 13 tys. osób, w tym 11 tys. młodzieży w 16 grupach, przy czym nie było grupy 13, za to były dwie grupy 3 i 4. Już w pierwszym dniu niektórzy nosili znaczki "S". Pierwszy transparent z napisem "S" pojawił się drugiego dnia podczas Mszy św. w Trzebnicy. Następnego dnia pielgrzymka już z kilkoma takimi transparentami przechodziła przez Głesnitę. W czwartym dniu po Mszy św. ks. Mirosław Drzewiecki - ojciec duszowy pielgrzymki powiedział, że ktoś wniósł skargę na naszą pielgrzymkę do biskupa. Zarzucono nam, że robimy pielgrzymkę polityczną a nie religijną. Zagrożono nam rozwiązaniem pielgrzymki. Ks. Drzewiecki powiedział, że protestuje przeciwko takiemu oświadczeniu w imieniu uczestników. Pielgrzymka nasza - powiedział - jest religijna a słowo Solidarność oznacza nie tylko nazwę zdelegalizowanego związku, ale również pewien związek międzyludzki. W trakcie tej wypowiedzi wszystkie transparenty poszły w górę. W czasie tego oświadczenia została uszkodzona aparatura nagłaśniająca przez włożenie szpilki do przewodów, co spowodowało spięcie. Liczba transparentów rosła z dnia na dzień. Były one różne - od prostych, malowanych na miejscu np. szminka, kredka świecowa itd. /napisy "S", "Wolność", "Victoria"/, po bardzo starannie wykonane, przyniesione z domu. W trakcie pielgrzymki, oprócz modlitw i konferencji na tematy religijne, były również wykłady poświęcone innym zagadnieniom, np. historii, kulturze itd. Prelegentami byli profesorowie Uniwersytetu Wrocławskiego, kombatancki z różnych okresów w historii Polski. Ponadto w niektórych grupach śpiewano piosenki "S", np. "Mury", "Żeby Polska była Polską", "Ballada o Janku Wiśniowskim". Rano, 14 VIII, pielgrzymka wyruszyła z Gnaszyna do Częstochowy. Przechodząc aleją NMP napotkaliśmy tłum stojący przy chodniku, który witał brawami każdy transparent "S". Po Mszy św. pod świątym Jasnej Góry zostawiliśmy część transparentów na żelaznym płocie pod murami, gdzie wetknięte już były transparenty innych pielgrzymek. W kaplicy Matki Boskiej znajduje się wmurowana tablica - płyta "S", koło której leżały kwiaty i znaczki "S". Po przejściu przed Obrazem Matki Boskiej

dok. str. 10

BIBLIOTEKA OKRESIOWYCH SIE - praszytaj:

"Eurokomunizm. Wybór tekstów." /L. Kołakowski: "Euro- czy asjatekoma-
nizm: jedno czy dwoje?"; S. Carille; Elleinstein/. Studencka Oficyna
Wydawnicza SCWA, Warszawa 1981.

Nad opisyjną krajoznawczą bluku wschodniego unosi się widmo poszukiwań
"socjalizmu z ludzką twarzą" czy też "trasciej drogą" "eurokomunizmu". I-
naczej mówiąc: znalezienie modelu zreformowanego socjalizmu, owego mo-
dus vivendi między socjetyzacją a niepodległością, opartego o jakiegoś
nie sprawnego i nie spracowanego człowieka. I tak w Czechosłowacji pa-
rał się tym Dubček i praska wiosna /a i dalszejsza opisyjka też/, w
Polsce np. Bratkowski, czy kiedyś nawet Jacek Kurś i Kisiel. A chociaż
inwazja na CDRS i stan wojenny w Polsce praktycznie i ostatecznie, jak
wydawałoby się, przekreśliły te rojenia, nadal się snują. Niestety rów-
nież na Zachodzie.

Przezora "Eurokomunizm" daje jeszcze jedną odpowiedź na to: nie
ma być nie modei innych modeli komunizmu, poza radzieckim. Nie ma szans
na podobne zasady ogólne a jednocześnie demokratyczne efekty. Komunizm
czy też socjalizm realny /mniejjsza o naswe/ jest jeden: despotyczny i
totalitarny. Nie są znane żadne fakty historyczne, które świadczyłyby,
że istniał choć przez chwilę u władzy - niezależnie od dróg jej zdoby-
cia - wariant liberalny. Posa tym: system ten funkcjonuje najskuteczniej
w zgodzie ze swoimi zasadami, wziętymi właśnie wprost z leninizmu /oś
którego pędzą następują wypaczenia/. Zrosną zasady te s góry piętnują
wszelkie odstępstwa jako rewizjonizm. Zatem każda inna formacja koma-
nistyczna /wzrost na Zachodzie/ musi ewoluować w kierunku sowieckim.
Taki są główne punkty eszja Kołakowskiego, będącego centralnym elemen-
tem powyżej. Próbną a nim polemizować astandardowi eurokomunistei Caril-
le i Elleinstein. Ale co się stasuje? Pomimo lepszej sytuacji /odpo-
wiedzią wczek na znany tekst, wybierając jego słabsze strony/, bezwied-
nie przyczynają się do ówej porażki. Sekretars KP Hiszpanii upiera się
np., że w ZSRR nie jest państwem sprawiedliwym, bo ... "nie jest w pal-
ni leninowski" /por. esej Kołakowskiego/, blok wschodni będzie ewoluował
w kierunku demokratycznym, gdy nie będzie zagrożony przez Zachód, rzą-
dzący wtedy przez lewicę. Wóród tego staku hadur prorokuje jeszcze cudi
gospodarczy wa Francji po oczekiwany zwycięstwie socjalistów. Jeszcze
bardziej kompromituje się wybitny /i/ marksista francuski Jean Ellein-
stein, dla którego despotyczny charakter władzy w ZSRR wypływa po prob-
ta a onakiej Rosji, a stalinizm to forma biurokracji.

Ważne to jeszcze jedną przewagą. Teksty pisane są w 1977 r. Dzisi
a perspektywę już wiemy jak wygląda gospodarka francuska, znamy też pro-
ceduralnie stanowisko PZ w sprawie Afganistanu czy stanu wojennego w
Polsce. Eurokomunizm się skończył, bowiem nie miał prawa powstać. /K. P./
/Czasową broszurkę można dostać w bibliotece Promienistych/.

Bardzo przeproszony czytelników i autorów za liczne pomyłki i błędy
/w tym dwa ortograficzne/ jakie wkładki się do poprzedniego numeru
Promienistych. /Red./

skich. /.../ Przynoszono mi głowice pocisków, którymi Niemcy strzelali, a króbre miały znaki sowieckie." Ostatecznie uratowała więc ich agresja z 17 IX.

Pamiętać trzeba również, że obiecana zachodnia kontrofensywa /jej brak tak eksponowany w dzisiejszej historiografii/ miała rozpocząć się piętnastego dnia od dnia wypowiedzenia Niemcom wojny /3 IX/ a więc 18 IX. Napad ZSRR uniemożliwił ją ostatecznie.

Efektom wszystkich tych pociągnięć było wyniszczenie i wynarodowienie polskiej ludności na terenach zajętych, uniemożliwienie stworzenia armii polskiej na zachodzie w pierwszym etapie wojny /odcięcie 300 tys. żołnierzy od Rumunii czy też Katyni/. Bardzo symptomatycznym elementem antypolskiej polityki rządu sowieckiego /wręcz jej symbolizującym ukoronowaniem/ stał się przyjazd do Krakowa w lipcu 1940 roku specjalnej delegacji NKWD w celu ustalenia ram współpracy z Gestapo przy likwidowaniu polskiego ruchu oporu.

K. Trojański

sunieć ... W takim momencie - zakłada pani Dąbska - nic pozytywnego o nim w prasie rządowej ukazać się nie mogło." To nie pani Dąbska wyszła z tego założenia, to Sandauer dopisał dowolnie swój tekst do jej wypowiedzi, usiłując wylać na nią swoją żołąć z powodu zarzutów skierowanych przeciwko niemu przez innych ludzi, do czego sam się przyznaje mimo woli cytując list "jakiegoś jego znajomego, zaczynający się od słów: "Trafiłeś w dziesiątkę...". Wyniszwszy zatem z powietrza, a raczej z wypowiedzi innych ludzi, taki wniosek, przyczepia go beztrósko do repliki pani Dąbskiej, ponieważ bez niego niemożliwe byłoby dalsze jego rozumowanie. Pisze on bowiem: "Studium moje czytała tylko po to, by wyłowić to, co by potwierdzało założoną z góry hipotezę." Ponieważ takiej hipotezy nie było, wniosek Sandauera na podstawie zmyślonych, nieprawdziwych faktów, jest fałszywy. Następnie zarzuca Sandauer prof. Dąbskiej "jawne fałszerstwo", a nawet "zwykłe oszustwo" na podstawie tego, że określenie Sandauera "nie tyle może wtórny, co synkretyczny" zmieniła na "nieoryginalny". Jeżeli nawet zgodzimy się z tym, że wtórny, synkretyczny nie w pełni odpowiadają określeniu nieoryginalny, to przecież wymowa całego artykułu Sandauera, jak i tytuł artykułu, czy szereg stwierdzeń /np. Zakończenie: "I Herberta rozparcelowaliśmy między kresy, rozmieszczając dokoła niego czworo poetów, pod wpływem których się znajduje. To pięknie - powie ktoś - a co zostaje w środku?"/ nie pozostawiając żadnych wątpliwości.

K. G.

Z informacji wewnątrzpartyjnych:
W nocy z 11/12 września włamanie do IO w Warszawie, gdzie wymalowano w nowo wyremontowanym budynku białą i czerwoną farbą aerozoleową podłogi i

ściany korytarzy oraz szyby jednej z izb lekcyjnych hasłami "Solidarność": "Solidarność walczy", "Solidarność zwycięży". /tlx 220 inf. wewn. PZPR z 13.9/ +++ Spadek zain-